ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Października 1895. **Nr. 20.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

GABRYEL HOŁUBEK,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Powrót Bożeny nieopisaną radością przejął pana Wisłockiego, który córkę uważał za straconą niemal na zawsze. To też ujrzawszy ją żywą i zdrową, powiódł najpierw do stóp ołtarza, w domowej kapliczce, gdzie w długiej, gorącej modlitwie dziękował Bogu za ocalenie swej ukochanej jedynaczki. Powstawszy zaś z kolan, przytulił Bożenę do piersi, długo trzymał w objęciu, jakby się obawiał, żeby mu jej znowu nie odebrano. Dopiero opanowawszy radość i wzruszenie spytał:

— Więc to ten przesławny wódz górników olkuskich przyszedł ci z tak skuteczną pomocą?

— Tak jest, najdroższy panie ojcze! Temu to zacnemu młodzieńcowi winnam wolność i życie, bo wolałabym była umrzeć, niż oddać rękę wrogowi!

Tu zaczęła Bożena opowiadać wszystkie szczegóły swego ocalenia wynosząc pod niebiosa Hołubka; stary szlachcic kazał sobie dwa razy jedno opowiadać, słuchał z wielką uwagą, a gdy córka skończyła, zawołał:

— Niezwykły to jest człowiek ten górnik, to pewno! Jak tu wpadł na czele kilku dzielnych żołnierzy myślałem szlachcic i rycerz urodzony... Tyle jest w tym młodym człowieku szlachetności i męstwa, jak opowiadają, taka zacność wygląda mu z oblicza, co sam zauważyłem, że się doprawdy zdumiewać trzeba, zkąd w prostym robotniku bierze się to wszystko... A przy tem ta niezwykła powaga i godność rozlana w całej postaci nie licuje wcale z jego niskim urodzeniem... Jest to doprawdy nie do wytłomaczenia!

— Ach! panie ojcze... mnie się zaczyna wydawać, że urodzenie to nic, jeno dobra wola człowieka...

— Urodzenie to nic? — przerwał źdźiwiony i zgorszony pan Wojciech. — Cóż też to nie roi się zaraz w takiej młodej głowie! Urodzenie to bardzo wiele, moja mościa panno: zacnie urodzeni mają większe przywileje, ale też

i większe obowiązki; wielkich cnót od nich wymagać i oczekiwać się godzi, za które znowu należy im się poszanowanie od mniej zacnych stanów — mówił to stary rycerz bardzo poważnie, z głębokiem przekonaniem, ale po chwili dodał z uśmiechem:

— Lecz mniejsza z tem... nie o to mi chodzi teraz. Com to chciał mówić? Aha! jak to mogłaś, moja panno córko, twego zbawcę odprawić od drzwi rodzicielskiego domu? Radbym mu wdzięcznem sercem podziękował...

— Prosiłam, żeby wstąpił, ale mi się wymówił pilną sprawą, jaką miał przed sobą. Wszelako na pożegnanie rzekł, iż może przyjdzie czas, w którym upomni się o nagrodę.

— Z ochotą ofiaruję mu choć połowę mienia...

— O panie ojcze! nie o pieniądzach on myślał...

— A jakiej to on nagrody wygląda? — spytał wyniośle pan Wojciech, marszcząc groźnie brwi...

— Tego ja nie wiem... — odparła rumieniąc się Bożena, bo przeczuwała, że ten zacny młodzieniec, jeźli chciał o co prosić, to pewno nie dla siebie. — Aleć to miarkuję, że nie dla Hołubka pieniężna nagroda.

Błyskawice gniewu zamigotały w oczach dumnego szlachcica, wpatrzył się surowo i badawczo w córkę, ale widząc jej twarz spokojną i niezwykle poważną, pohamował się wnet i odezwał łagodnie:

— Nie mówmy już o tem... Zawsze trzeba nam pamiętać, że uratował ci więcej, niż życie... A teraz mościa panno, wypocznij nieco, bo trudy cię nielada czekają. Moc tu została rannych naszych i nieprzyjacielskich, pomiędzy którymi jest też jakiś zacny oficer.

Bożena ucałowała ręce ojca, który jej głowę z pieszczotą do piersi przytulił i udała się na spoczynek, ale wieczorem już się krzątała po izbach, gdzie złożono rannych.

Pan Wisłocki bez względu do jakiego należeli obozu, kazał wszystkich starannie opatrzeć i troskliwie pielęgnować; wnet też ranni przychodzili do zdrowia. Najdłużej pozostał pan Marek Siekierzyński, bo choć rana jego była lekka, to przecież utracił dużo krwi i duszę miał chorą, co opóźniało wyzdrowienie; zwłaszcza, że do dawniejszych cierpień przyłączyły się teraz srogie wyrzuty sumienia, iż dał się unieść nienawiści i rozlewał krew niewinną.

Pan Marek nigdy dotąd nie brał udziału w napadach Zborowskich i austryackich żołnierzy na dwory i zamki, bo szlachetna jego dusza brzydziła się rabunkiem i mordem; czasem wprawdzie towarzyszył Lichtensteinowi, którego bardzo lubił, bo był to odważny oficer i w gruncie niezły człowiek, ale tylko, aby powściągnąć żołnierzy od gwałtów i swawoli.

Nie chciał też zrazu ciągnąć do Wisłocka, choć na samo wspomnienie nazwiska pana Adama zawrzała w nim dusza z żalu i gniewu; nie chciał przecie przykładać ręki do nieszczęścia jego rodziny, ale też nie myślał jej bronić. Dopiero pod wpływem starego miodu, do którego go von Lichtenstein gorliwie zachęcał, zmienił postanowienie. Doznawał jakiejś dzikiej radości na myśl, że najsroższy jego wróg i krzywdziciel, jak rotmistrza zawsze w myślach nazywał, dozna sam podobnej boleści, jaką jemu zgotował. Wiedział od panny Anny Wisłockiej, jak bardzo pan Adam kochał siostrę, więc myślał sobie:

— Niechże łotr posmakuje, co to jest stracić istotę, którą się szanuje i kocha! Niech mu się serce rozrywa z niepewności i obawy, co się z nią stało, niech wie jak krzywda boli!

Poszedł więc do Wisłocka i bił się jak lew, ciesząc się naprzód rozpaczą rotmistrza. Chwilami porywało go gwałtowne pragnienie: zburzyć cały Wisłock, puścić z dymem stary dworzec, nienawistne gniazdo swego nieprzyjaciela.

Takie to nędzne i słabe stworzenie jest człowiek, gdy nad namiętnościami swemi nie czuwa; takie spustoszenia czyni nawet w szlachetnem sercu nienawiść, gdy nad nią nie zapanujemy i nie wyrzucimy jej zawczasu z duszy.

Teraz jednak, gdy pan Marek odzyskał zmysły i ujrzał się z miłością pielęgnowanym, tak właśnie, jakby się w rodzicielskim domu znajdował, zawstydził się swoich złych uczuć z jakiemi tu jechał. Bronił się wprawdzie jeszcze czas jakiś skrusze, która przejmowała jego serce, wmawiając w siebie, że stary pan Wisłocki nie jest pewno lepszy od syna, ale niebawem musiał sobie powiedzieć, że nie było zacniejszego i cnotliwszego człowieka, od pana Wojciecha. Tak stary rycerz jak urocza Bożena, wywierali jakiś potężny a dobroczynny wpływ na chorą duszę młodzieńca; wpływ ten miał przemienić wszystkie jego zdrożne uczucia, miał zwrócić go stanowczo ze złej drogi, po której się dotąd błąkał, łudzony pięknemi słówkami Zborowskich. Znali oni doskonale wysokie poczucie honoru młodego, dumnego panicza, więc wystawiali mu zawsze odstąpienie ich w danej chwili, jak rzecz niehonorową, brak wdzięczności, sprzeniewierzenie się przyjaźni i t. d., pan Marek wahał się tedy, odkładał namysł na później, zerwanie do odpowiedniejszego czasu, a tymczasem plątał się coraz więcej w sieci kochanych kuzynów.

Pan Wisłocki całe godziny spędzał przy łożu chorego, rozmawiając z nim o najważniejszych sprawach, a w każdem zdaniu, w każdem słowie starca przebijała się zacność i szlachetność, zapomnienie o sobie dla dobra pospolitego i inne rzadkie, a najpiękniejsze cnoty. Z czasem nabrał pan Marek przekonania, że rotmistrz odrodził się od swego zacnego ojca, który nie wie nic o niegodziwości syna. Widząc zaś z wszystkiego, co pan Wojciech o Adamie mówił, gorącą miłość ojca dla syna, postanowił sobie z wdzięczności dla cnotliwego, a oszukiwanego przez ukochanego jedynaka, starca, który niby rodzony ojciec miał o nim staranie w chorobie, wyrzec się zemsty nad rotmistrzem, nie wspominać nic panu Wojciechowi o jego sprawkach. Po powrocie do zdrowia zaś i skończonej wojnie, zamierzał poszukać krzywdziciela biednej sieroty i zażądać wyjawienia, gdzie się nieszczęśliwa znajduje; był bowiem przekonany, że Adam albo porzucił Ludkę, albo też bałamuci ją dalej, oszukując ojca udaną cnotą i uległością, a tem był tego pewniejszy, im częściej pan Wojciech mówił o bliskiem małżeństwie syna z bogatą i znakomitego domu Wielkopolanką, budując na niem przyszłą świetność swej rodziny.

Pan Wisłocki podejmując starania około rannych, obawiał się zrazu bardzo zemsty von Lichtensteina i chciał nawet wraz z Bożeną dom opuścić; odwiódł go jednak od tego zamiaru pan Siekierzyński, który znając komendanta zapewniał, że ten zemsty szukać nie będzie, i że dopóki on, pan Marek, znajduje się pod gościnnym dachem pana Wojciecha, nic mu nie grozi. Dał się łatwo przekonać stary rycerz, bo niechętnie przy swojem steranem zdrowiu dom opuszczał; obwarował więc jeno nieco lepiej dworzec, ponaprawiał wały, częstokoł i bramę, a czeladzi kazał baczną mieć uwagę na całą okolicę.

Wszystkie te ostrożności były zbyteczne, bo tak młody oficer jak arcyksiążę mieli ważniejsze sprawy na głowie, jak wywieranie zemsty nad panem Wisłockim.

Gniew w jaki popadł Maksymilian po klęsce, zadanej jego wojskom przez Hołubka, wzmógł się jeszcze, gdy wrócił do obozu ranny von Lichtenstein ze swym oddziałem, o całą jednę chorągiew zmniejszonym. Ale wraz z gniewem wzrosła i niecierpliwość arcyksięcia; bezczynne oczekiwanie drażniło go i zniechęcało, stracił humor do reszty, ale przecie opuścił namiot, gdzie siedział zamknięty od owej nieszczęsnej nocy i zwołał radę wojenną.

Maksymilianowi pilno było do walki z Zamojskim, chciał się z nim załatwić, nim Zygmunt nadciągnie; wodzowie zaś niemieccy i polscy niechętnie czekali na posiłki, mające nadejść od cesarza, bo nie mieli ochoty dzielić się chwałą zdobycia Krakowa i pokonania tak wsławionego wojownika, jakim był wielki hetman. Zgodzono się tedy łatwo i po-

stanowiono uderzyć na stolicę. Gdy zaś przez kilka dni Hołubek nie dał znaku życia, nie skubał podjazdów, wychodzących z obozu po żywność, pomyślał arcyksiążę, że ten ostatni gwałtowny napad sławnego górnika z tak szczupłemi siłami był ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem ochotników, poczem oddziały ich, albo się całkiem rozproszyły, lub też niedobitki schroniły się do miasta, pod skrzydła hetmana. Rozważywszy nadto, że kanclerz ma niewiele wojska, a Niemcy zamieszkali w Krakowie, otworzą bramy i porówno z jego chorągwiami rzucą się na załogę Zamojskiego, pewien był zwycięstwa i nie myślał dłużej czekać na posiłki. Porozumiano się więc z przymierzeńcami w stolicy i piątą noc po odejściu Hołubka, przeznaczono na zdobycie Krakowa.



CZYSZCZENIE ZEGARA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 320).

— No, mości panowie, a bracia! Dziś ostatni raz ucztujemy w namiotach! — wołał pan Krzysztof Zborowski,

podczas obiadu, po którym miał niebawem szturm nastąpić. — Zdrajca kanclerz zapłaci nam dziś w nocy za wszystkie wycierpiane tu niewczasy!

— Tak jest, panowie bracia! Jutro uczta w zamku! — dodał pan Andrzej odznaczający się szczególniejszą nienawiścią do Hołubka. — Ten rozbójnik, ten djabeł wcielony!... jak mu tam na przezwisko? już nam nie będzie z przed nosa spyży zabierał. Bym ja go jeno dostał był w moje ręce!... U-ha! oporządziłbym był mu skórę!... O cham przeklęty! co on nam tu nadokuczał, to jak sobie wspomnę, djabli mię biorą. Bogdaj go za to powiesili.

— Dajże mu już spokój panie Andrzeju — zawołał śmiejąc się pan Stadnicki. — Nie kocha nas ten wódz chłopski, to prawda, ale między nami mówiąc, mądry to i szczęśliwy wojownik. Zazdroszczę go Zamojskiemu! A żeby tak dał się przeciągnąć na stronę naszego miłościwego pana, gotówbym wyrobić mu szlachectwo i przyjąć do mego herbu!

— A ja gotowem go powiesić na najwyższej gałęzi, żebym go jeno złapał! — wrzasnął pan Andrzej. — Jego to wisielcy, albo on sam, usiekli Marka Siekierzyńskiego.

— Nie masz się o co gniewać, ani czego żałować — przerwał z lekceważeniem pan Krzysztof — niewielka była pociecha z tego kochanego kuzyna... Lamentował on pono po jakiejś dziewce, która mu umkła, gdy ją już wiódł do ołtarza. Sameś mi o tem powiadał.

— A przecież oddał on naszej sprawie niemałe usługi, zjednał nam wielu stronników — wtrącił pan Andrzej. — Teraz zaś...

— Teraz zaś, kiedy nam już ich zjednał, tedy nam nic po nim; niechże sobie kochany kuzynek odpoczywa w pokoju! — zaśmiał się pan Krzysztof. — A my, mości panowie a bracia! zamiast płakać po nieboszczyku, spełnijmy kielichy na powodzenie naszego oręża, a pohybel zdrajcy hetmanowi!

Tak rozprawiając ucztowano w Maksymilianowym obozie aż do wieczora. Prosto od stołu ruszono do chorągwi, sprawiono je po cichu i poprowadzono pod bramy Krakowa, które za zbliżeniem się szyków miały zostać otwarte.

Tymczasem wielki hetman, który z papierów zdobytych przez Gabryela wiedział o gotującej się zdradzie, miał pilne oko na wszystko. Właściwe miasto powierzył wojewodzie krakowskiemu Tęczyńskiemu, zamek staroście Zebrzydowskiemu, sam zajął Kleparz, zkąd walka miała się rozpocząć, a pięćset żołnierzy Hołubkowych strzegło bram, dając przy tem baczenie na mieszczan cudzoziemców.

Noc ciemna rozpostarła się nad miastem, gdy zbrojni i gotowi sprzymierzyńcy arcyksięcia usłyszeli umówiony sygnał, który im znać dawał, że Maksymilian się zbliża. Rzucili się tedy hurmem, aby bramy otworzyć, gdy wtem zastęp zbrojnych mężów obskoczył ich dokoła i nuże siec a rąbać.

Wszczął się krzyk straszliwy i sroga zawrzała walka, bo Niemcy poczęli się bronić z wściekłością, a górnicy nacierali, jak szaleni.

Na chwilę przedtem, Maksymilian pewny, że bramy otwarte, podsunąwszy się cicho pod same mury, kazał nagle uderzyć w trąby i kotły i z gromkim okrzykiem ruszono pędem do bramy. Lecz nim chorągwie do niej dobiegły, zagrzmiały rusznice, zabłysły ognie i grad kul lunął na arcyksiążęce szyki, a równocześnie, tuż za murami, ozwały się przeraźliwe wrzaski, rozpaczliwe wołania ratunku, wściekłe przekleństwa, bolesne jęki i radosne okrzyki zwycięstwa; powstał nieopisany popłoch i zamięszanie, bo nie spodziewano się takiego przyjęcia. W pierwszej chwili chorągwie zaczęły się cofać, lecz Maksymilian domyśliwszy się, że zdradę odkryto, że to jego sprzymierzeńców biją za murami, wytęża wszystkie siły, słowem i przykładem zagrzewa do walki i z rozpaczą i wściekłością w sercu, szalony szturm przypuszcza do miasta, w nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone.

Ale nie z Zamojskim to mierzyć się wodzom arcyksięcia i jemu same-

mu! Z murów sypią się coraz liczniejsze strzały, kule świszcząc złowrogo, roznoszą śmierć dokoła, leje się wrząca smoła i terpentyna, żywy ogień leci na głowy i twarze, więc wojsko Maksymiliana, zdziesiątkowane, przerażone, nie dotrzymuje placu, chwieje się, miesza, cofa, aż w końcu, z okrzykiem trwogi, uchodzi co sił z pod murów.

Tego też tylko czekał wielki hetman! Nagle rozwarła się brama, ziemia zadrzała pod nogami, i z niepojętą szybkością zaczęła się wysypywać niezrównana jazda Zamojskiego, nie mająca dotąd w bitwie udziału. Nim Austryacy zmiarkowali, co się dzieje, nim wodzowie zdążyli zwrócić czoło swoich szyków ku nadbiegającym, już konie szły w najwyższym pędzie, zdając się nie tykać ziemi i jak huragan wpadły na nieprzyjaciela, w jednej chwili rozbite zostały chorągwie, pomięszane szeregi, rozrzucone szyki, bo polskiej jeździe żadne wojsko oprzeć się nie zdołało.

Rozegnane po całym pobojowisku austryackie zastępy, broniły się kupkami, lub pojedyńczo, a z rozpaczą w sercu, gdyż bez nadziei zwycięstwa; jeźdzcy polscy uganiali się jak wicher, przebiegali jak błyskawica i rąbali bez miłosierdzia.

Wnet spostrzegł arcyksiążę, że jeszcze chwila, a żywa dusza nie wyjdzie z pogromu, że wszystko wojsko utraci; nakazał więc na gwałt dać w trąby do odwrotu, który też nieszczęsne niedobitki z błyskawiczną szybkością uskuteczniły. Ale jazda poszła za nimi w pogoń i gnała tak, umykających na złamanie karku, spory kawał drogi; aż przecie i ją trąbki wezwały do odwrotu. Rozgromiwszy nieprzyjaciela za murami, wrócił Zamojski do miasta i wstrzymał zapał górników, rozkazując zaprzestać dalszej walki, bo byliby do nogi wysiekli zdrajców, z taką zajadłością ich bili.

Oprócz pobitych w mieście, legło pod murami Krakowa 1600 nieprzyjaciół, którzy nadto stracili 8 dział, w tej nieszczęśliwej dla arcyksięcia bitwie. Z okrzykiem radości wracały zwycięzkie chorągwie Zamojskiego do miasta, do prastarej stolicy, której bramy znowu się za niemi zawarły. Maksymilian zaś, lubo już nie ścigany, uchodził długo ze swymi; minął poprzednio zajmowany obóz, a zatrzymał się dopiero w znacznej odległości Krakowa, gdyż obawiał się, aby hetman nie napadł go raz jeszcze.

Nowa ta klęska nie już gniew, ale przerażenie wywołała w sercu i umyśle arcyksięcia; poznał on, że sprawa jego źle stoi, że ci panowie polscy, którzy go na tron zaprosili, nie umieją teraz skutecznie popierać i bronić swego elekta; dalej widział, że marnuje bezpożytecznie własne siły, któremi nic dotąd nie dokazał bo były za małe. Jedyny ratunek swój widział w owych posiłkach, jakich się z Niemiec spodziewał. Ale posiłki te były daleko a tu czasu nie było, gdyż król Zygmunt już był w Polsce i ostrożnie zbliżał się do Krakowa. Jął tedy Maksymilian na gwałt słać gońca za gońcem, aby wojsko, spieszące mu na odsiecz, najkrótszemi drogami zdążało co sił; nie przeczuwał niefortunny monarcha, że żaden z tych posłów nie doszedł do celu, bo ich jak myszy ludzie Hołubka co do jednego wyłapali i listy poprzejmowali.

Młody wódz ochotników wziął sobie bardzo do serca polecenia hetmańskie; idąc więc wielkimi pochodami, wnet się zbliżył do onych wojsk, spieszących w pomoc arcyksięciu. Jednakże tak się umiał dzielnie sprawić, że je otoczył w około, a one o niczem nie wiedziały; maszerowały sobie tedy spokojnie i wolno naprzód, w tem przekonaniu, że kraj pusty, bezbronny, przeto nigdzie nikt nie stawi im oporu. Gabryel byłby rad czemprędzej wyprowadzić ich z tego błędu, aby módz następnie ruszyć na spotkanie króla, ale miał za małe siły. Bo chociaż ubytek onych pięciuset, zostawionych w Krakowie powetowali natychmiast nowi ochotnicy, lecz jak pierwsi byli to ludzie po większej części z wojną nieobeznani, w rzemiośle rycerskiem niewyćwiczeni.

Co prawda, to Gabryel, jako wódz roztropny i zapobiegliwy, urządził swoje

wojsko znakomicie, miał piechotę i konnicę, dwie armaty z potrzebną amunicyą, żywności i broni poddostatkiem; nadto wszyscy jego żołnierze byli dobrze i pięknie umundurowani i należycie uzbrojeni. Co zaś najlepsze, że to wszystko nie kosztowało ani grosza, gdyż ubiory rycerskie, pancerze, broń, amunicyę, konie, żywność, wszystko to brali ludzie Hołubkowi w sukcesyi po Austryakach, których zwyciężyli, a którzy pewno nie spodziewali się takich spadkobierców; to też górnicy nasi wyglądali, jak dzielny, jakiś świetnie i dostatecznie okryty oddział wojska cudzoziemskiego.

Z tem wszystkiem nie mogli się oni porwać do otwartej walki z nieprzyjacielem, którego jednak trzeba było koniecznie pokonać. Posiłkowe wojsko dążące na odsiecz Maksymilianowi składało się z czterech tysięcy starych, doświadczonych żołnierzy, dobrze odzianych i uzbrojonych; co więcej prowadzili oni ze sobą armaty i liczny tabor z nieprzebraną ilością żywności, broni i amunicyi.

Hołubek bezustannie łamał głowę, jakby to pokonać tego nieprzyjaciela; ale że przy wielkich swoich cnotach i całym rozumie, wcale niewysoko trzymał o sobie, przeto nie polegając na własnem zdaniu, zwołał oficerów na naradę, najzdolniejsi z nich byli Semen, Antek i Maciek Szypełkowie. Długo rozprawiano i radzono, aż wszyscy przyszli do przekonania, że w otwartem polu nie dadzą wrogowi rady.

— Ja tylko jeden widzę sposób — rzekł Gabryel — trzeba będzie nieprzyjaciela z mańki zarzyć. Jak ich sztuką nie pokonamy, tak ich wcale nie pokonamy... I tak zajdą oni sobie wolno, ale bezpiecznie do obozu Maksymiliana, a my niby w niewidzialnej asyście, pójdziemy za nimi.

— O! niedoczekanie ich, żeby im tak gładko poszło! — zakrzyknął Maciek. — Jużby też chyba was, panie komendancie, musiało nie być na świecie! A choćby ich tak szarpać i skubać po trochu?... Wytłuklibyśmy sporo, niż staną na miejscu.

— Ba! Jak się raz opatrzą, że o nich wiemy, to wezmą nogi za pas, i wnet będą pod Krakowem — rzekł Semen.

— Albo się też ku nam obrócą i zmarnują nas od razu! — dodał Antek.

— Ha! Kiepsko z nami! — odezwał się inny oficer. — Nie bić źle, wybić jeszcze gorzej! Ale wszelako choćby się tak z nimi popróbować?

— Spróbować to furda!... zawszeć można... Ale jak nas zmogą, to co? Cała nasza wyprawa w łeb weźmie! — mówił zafrasowany Antek.

— Przecie coś uradzimy u licha! — pocieszał go Semen, spoglądając niespokojnie na zamyślonego Gabryela. — Waćpan, panie komendancie, wspomniałeś o jakimś fortelu!

— Tak jest — odparł Hołubek, budząc się z głębokiego zamyślenia.

— Pokonać ich musimy, choćby zginąć przyszło... a że w otwartem polu nie możemy...

— Tedy pobijemy Austryaków w jakiej dziurze! — zawołał uradowany Maciek.

Młody wódz się uśmiechnął.

— Dobrześ powiedział, Maćku! — rzekł — wygarbujemy im skóry, przyparłszy do ściany... żeby umykać nie mogli, ani nas nie gonili.

— To tak niby w jakim wąwozie, pomiędzy górami? — spytał Antek.

— Nieinaczej. Trzeba jednak, aby w on wąwóz wleźli...

Semen uderzył się w czoło.

— To już wiem! — wykrzyknął uradowany. — Wlezą oni, wlezą! Jeno trzeba ich trochę nagnać... Przednia myśl! Nasza będzie wygrana!

— I ja mam nadzieję w Bogu, że nam dopomoże — rzekł poważnie Hołubek. — Oto jak uczynimy: Austryacy nie wiedzą, że są przez nas otoczeni; nie przypuszczają też wcale, aby im tu kto drogę zaszedł; idą sobie powoli, bo są spokojni, straży nie rozstawiają, gdyż nie spodziewają się niebezpieczeństwa,



WIDOK MIASTA WENECYI. (Obacz objaśnienia rycin na str. 320.)

a przytem wszystkiem dróg nie znają, miarkują to ztąd, iż się tak wolno posuwają, jakby się wciąż namyślali.

— A kołują okrutnie i niepotrzebnie — wtrącił Maciek. — Jużem sobie nieraz myślał, że kpy! Ktoby tak łaził, jak oni!

— Otóż to właśnie! — podjął znowu Hołubek. — Pójdzie tedy do nich ze dwóch naszych, przebranych za posłów arcyksiążęcych i wprowadzą ich w matnię, pomiędzy wąwozy i lasy, a tam już im damy radę.

— Mogliby też nasi ludzie wziąść listy Maksymilianowe, które znaleźliśmy przy tych połapanych gońcach, to jeszcze im snadniej Austryaki uwierzą — ozwał się Semen.

— Bardzo mądrze waćpan radzisz — odparł Gabryel. — Tak się uczyni. Dziś zaraz wybiorę ochotników na tę wyprawę, którzy ruszą natychmiast, bo nie ma czasu do stracenia.

Dość długo jeszcze obmyślano i omawiano różne szczegóły, zwabienia nieprzyjaciela w zasadzkę, aż uradziwszy wszystko, udali się do chorągwi, aby poczynić potrzebne przygotowania.

W dwa dni później, dwóch ludzi, w austryackich mundurach, stanęło przed komendantem posiłków, spieszących pod Kraków. Przynieśli oni z sobą list arcyksięcia, w którym tenże zaklina i usilnie rozkazuje, aby odsiecz spieszyła co sił do jego obozu, a dalej aby komendant poprowadził chorągwie najbliższemi drogami, które mu wskażą oddawcy listu, gdyż jako ludzie tutejsi są bardzo obeznani z okolicą i dróg świadomi. Zdziwił się komendant, że żadnego listu dotąd nie otrzymał, a arcyksiążę wspomniał, że ich już kilka wysłał; jednakże najmniejsze podejrzenie nie powstało mu w duszy; posłuszny rozkazowi monarchy, gotów był iść zaraz wszędzie, gdzie go przysłani gońce poprowadzą.

Ale że wieczór już zapadał, przeto wojsko rozłożyło się obozem na spoczynek, aby nazajutrz, równo ze świtem, wyruszyć w dalszą drogę, pod przewodnictwem Maksymilianowych posłów.

Było to już w późnej jesieni, noce były ciemne i długie, a dni mgliste i posępne. Poranek, po dżdżystej nocy, wstał blady, ponury, deszcz nie padał wprawdzie, ale ciężkie, szare chmury wlokły się nisko nad ziemią, a zimny, przejmujący wiatr strącał krople wody z nagich konarów, świszcząc smutno pomiędzy nimi. (Ciąg dalszy nastąpi.)

MIŁOŚĆ.

Niech w każdej ludzkiej biegły będę mowie,
W tej nawet którą mówią Aniołowie,
A za to, niechby ujemnie
Miłości nie było we mnie,
To niby jak najobłudniej
Tak to wypadło:
Żem jest jak pusty bęben który dudni,
Albo miedziane brzękadło.

I niechbym, w zachwytów szale,
Mógł w ciemną przyszłość patrzeć poufale,
I niechbym Wiedzę z piętnem tajemniczem
Tak silną posiadł, że aż z jej pomocą
Góry się dla mnie, tak jak chcę, szamocą,
Lecz niech Miłości nie mam — jestem niczem.

I choćbym biednym rozdał wszystko mienie,
I choćbym ciało dręczył nieskończenie,
I wreszcie, niech z niego zrobię
Pastwę rzuconą na ogniste łoże,
Jeśli Miłości mieć nie będę w sobie,
To mi to nic nie pomoże.

Miłość łaskawa, Miłość jest cierpliwa,
Ni ona wyrządza złości,
Ni komu czego zazdrości,
Ni kiedy wyniosłą bywa.
Ni dba by stała na przedzie,
Ni ma swą korzyść na pieczy,
Ani się gniewem uwiedzie,
Ani też myśli złe rzeczy.
I nie jest rada, jeżeli
Coś nieprawego się stanie,
Lecz niesłychanie
Z prawdy się każdej weseli.
Wszystko wyczeka, i jak najszczerzej
Wszystkiemu wierzy,
I dzielne mając ufanie,
Wszystko wycierpieć jest w stanie.

Nie zginie Miłość z Wiarą i z Nadzieją,
Choć i proroctwa zniszczeją,
Chociaż języki ustaną,
Choć się i Wiedza stanie zepsowaną.

Dziś-bo zaledwie część się nam odsłania
Równie poznania jak i nauczania;
Ale w całości udoskonalenia
Patrz, jak ta cząstka dziwnie się odmienia:
Oto, dziecięciem będąc, wszakci przecię
Mówisz, rozumiesz, myślisz tak, jak dziecię,
Lecz gdyś się wreszcie mężem stał, to dłużej
Twe niemowlęctwo już ci nie usłuży.

Dzisiaj nam niby rzeczy te się marzą
W zwierciedle krytem zasłoną,
Lecz byle ją odchylono,
Spojrzymy wonczas w twarz twarzą.
Dziś, wiemy ledwie cząstkę prawdy samej,
Co nam odwieczna jest pani —
Lecz wonczas tak ją poznamy,
Jak sami przez Nią jesteśmy znani.

A teraz oto, smutny byt człowieczy,
Cóż nierozłącznie upiększa?
Wiara, Nadzieja, Miłość — te trzy rzeczy —
Lecz z nich jest Miłość największa.

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

Przepisy św. Hieronima co do wychowania córek.

Córka twoja niechaj tylko to słyszy i tego się uczy, co prowadzi do bojaźni bożej. Bezwstydnych mów niechaj nie rozumie: świeckie śpiewki niechaj jej będą nieznane; miłe psalmy niechaj śpiewa. Zdala od niej niechaj się trzyma zły chłopak. Służącym jej niechaj nie będzie wolno przestawać ze światem, aby trucizny ze świata nie przeniosły na dziecko pieczy ich powierzone. Do pierwszej nauki czytania dajcie jej litery z drzewa lub z kości słoniowej, niech się niemi bawi, aby zabawa była pouczająca. Wymowa jej niech będzie czysta i silna. Małemi podarkami, ciastkami, barwnemi kwiatami, ładnemi pupkami trzeba się starać przezwyciężyć pierwsze trudności i wzbudzić pilność. Pierwsze wyrazy, których się uczyć będzie, niechaj umyślnie zostaną wybrane ku temu celowi. Przydatne do tego są nazwy proroków, apostołów, od Adama począwszy; w ten sposób namnoży się zapas wyrazów potrzebnych do nauki późniejszej. Dobrze jest dać do nauki inne dzieci przy niej, aby ją pobudzić do pilności jeżeli inne dzieci lepiej się uczyć będą. Jeżeli inne dzieci otrzymają pochwałę, dziecko będzie się starało o podobną pochwałę. Jeżeli nie będzie dosyć pilną, to nie trzeba jej łajać, lecz pochwałą trzeba ją pobudzić do pilności.

Przedewszystkiem o to starać się trzeba, aby nauka jej nie obrzydła, aby to obrzydzenie z lat dziecięcych nie przeszło na późniejsze życie. Nauczyciel wybrany dla niej niechaj będzie człowiekiem w dojrzałym wieku, dobrych obyczajów i gruntownej nauki. Ponieważ córka twoja ma być Bogu poświęcona, to musi się wnet zaznajomić z wodzem, pod którego chorągwią ma służyć. Szaty jej teraz muszą być zastósowane do późniejszego stanu. Nie trzeba uszu jej przeszywać, nie malować jej lica jako oblubienicy Chrystusowej, nie trzeba obwieszać jej szyi złotem i perłami, nie ozdabiać głowy jej drogimi kamieniami, nie farbować włosów.

Matka niech będzie przedewszystkiem nauczycielką i wzorem dziecka, które nie powinno nic grzesznego widzieć ani u ojca ani u matki. Lepsza nauka przykładem aniżeli słowami pięknemi. Na ulicę i do kościoła niechaj córka wychodzi zawsze tylko w towarzystwie matki, i tylko przy niej niechaj przepędza noce we wigilie w kościele. Niechaj nikomu ze służebnych nie daje pierwszeństwa i żadnego nie czyni powierniczką swoją; co jednej powie, niechaj wszystkie słyszeć mogą.

Do zabawy niechaj sobie nie wybiera dziewczęcia, któreby miało upodobanie w marnych strojach, które śpiewa piosnki miłosne; towarzyszka jej niechaj się ubiera skromnie, niechaj będzie

poważna i najczystszych obyczajów. Niechaj od niej się uczy wstawać w nocy ku modlitwie i świętym pieśniom, od niej niechaj się uczy chwalić Boga przed świtem, o szóstej, trzeciej i dziewiątej godzinie; od niej niechaj się uczy ofiarować Bogu wieczorem przy świetle lampy. Modły i czytanie niechaj na przemian po sobie następują. W ten sposób i przy takiem zajęciu czas szybko jej przejdzie. Nigdy niechaj nie patrzy na młodych głupców, modnisiów z włosami wymuskanemi, których słówka słodkie jak miód zadają rany duszy. Od towarzystwa lekkomyślnych dziewcząt trzeba ją trzymać zdaleka. Im łatwiejszy daje się przystęp takim dziewczynom, tem trudniej ich się pozbyć. Czego się takie nauczyły, tego tajemnie uczą innych i psują światowemi mowami obyczajne dziewczę.

Co się tyczy robót ręcznych, to niech twoja córka przędzie, niechaj kładzie na łono koszyczek z wełną, niechaj uczy się kręcić kołowrotek i nici wyciągać. Jedwabnemi szatami niechaj gardzi; szaty jej mają ją chronić od zimna, mają nakryć jej nagość. Zamiast w drogich kamieniach i jedwabiach niechaj się kocha w pismach świętych. Najpierw niech czyta psalmy; w tych śpiewach niechaj szuka rozrywki. W przypowieściach Salomona niechaj szuka mądrości życia, w innych księgach pogardy życia, w księgach Joba cnotliwych uczuć i mocy. Potem niech weźmie ewangelią, dzieje i listy apostolskie. Kiedy w głębi serca złoży te wielkie skarby, to niech czyta proroków, księgi Mojżesza, Jozuy, sędziów, królów, kronikę, Ezry i Estery, w końcu bez szkody może poznać pieśń nad pieśniami.

Powiesz może, pisze św. Hieronim, jakże to wszystko wykonam, ja, kobieta żyjąca w świecie, we wielkim Rzymie? Poślij córkę do babki i ciotki do klasztoru ich, tam pomiędzy dziewicami będzie wychowana. Tam się nie nauczy wyzywać; tu nauczy się brzydzić kłamstwem jako wielkim grzechem; tu będzie prowadziła życie aniołów nie znając świata i nie będziesz miała kłopotu, aby zachować niewinność jej.

Takie upomnienia dał św. Hieronim. Są one równie dobre i prawdziwe jak były przed wiekami, bo prawda nigdy się nie zmienia, a prawdą jest to, co się opiera na prawie i objawieniu boskiem, co wypływa i wynika z prawa i objawienia boskiego. Jako Bóg niezmienny, jako jego prawa i objawienie są niezmienne, tak wszystko co z nich wynika zawsze jest równe, zawsze jest prawdziwe. Gdyby w sprawach wychowania większa część ludzi kierowała się prawem i objawieniem boskiem, jak radzi św. Hieronim, toby było dobrze na świecie.

O DZIENNIKARSTWIE W CHINACH.

Chińczycy są narodem bardzo zacofanym. Tysiące lat przed Chrystusem mieli już swą własną kulturę, wynaleźli porcelanę, mieli swych filozofów, którzy stworzyli dzisiajsze ich religie, ale w tej kulturze nie postępowali naprzód. Jestto bowiem naród bardzo dumny i zarozumiały. Chińczyk czuje się być wyższym od Europejczyka i od każdego innego śmiertelnika i obcych zdobyczy na polu oświaty, przemysłu i handlu nietylko nie przyjmuje, ale wprost Europejczyka, jak w ogóle obcokrajowca do Chin wpuścić nie chce. W ostatnich dziesiątkach lat musiały sobie europejskie narody gwałtem wstęp do Chin utorować. Jednak mimo, że Chińczycy w obcokrajowcach mają wzór do naśladowania, w swej zarozumiałości nie ustają, i nietylko trwają w tych zastarzałych poglądach na rozwój czasów, ale jak mogą tak prześladują Europejczyków, chcąc im w ten sposób pobyt w Chinach utrudnić i wprost udaremnić. Po-

między inteligentniejszymi żywiołami nastąpi jednak zwrot ku lepszemu. Choć podejrzliwymi są wobec każdego, który nie jest Chińczykiem, jednak biorą się do czytania gazet, które europejscy przyskie gazety codzienne i kilka tygodników, między nimi i jeden niemiecki, który też jest jedynym w całych Chinach. Hongkong liczy 10 tysięcy mieszkańców, posiada trzy angielskie dzien-



PRZEMYTNIK. (Obacz objaśnienia rycin na str. 320).

bysze zaprowadzili. Szczególnie w miastach portowych rozwinęło się dziennikarstwo w wysokim stopniu. W mieście Shanghai przebywa obecnie co najwyżej 5000 Europejczyków. Mimo tej małej liczby wychodzą tam trzy angielniki i dwa tygodniki. W miastach Tientsin, Amoy i Tutszan wychodzą dzienniki angielskie, mimo, że wszystkie te miejscowości liczą razem zaledwie kilkaset Europejczyków. W portugalskiej kolonii Macao wychodzi kilka portugal-

skich gazet. Gdyby mieli czytać te gazety wyłącznie Europejczycy, z pewnością większa ich część nie ostałaby się. Czytelnikami ich są po większej części Chińczycy, którzy nauczyli się mówić i czytać po angielsku. Widząc zainteresowanie się, wzięli się Anglicy na sposób i obok angielskich poczęli wydawać gazety chińskiem pismem drukowane. Skutek był nadzwyczajny. W krótkim czasie powstało co najmniej pół tuzina takich czasopism, które liczyły po trzy do sześciu tysięcy płatnych czytelników, jedno liczy nawet 12 tysięcy przedpłacicieli. Wszystkie te czasopisma prześciga jednak czasopismo »Y-wen-lu«. wydawane przez katolickich redaktorów.

Nawet protestanci przyznają, że pismo to jest po mistrzowsku redagowane przez katolickich księży chińskich. Wszystko tam znajdziesz. Wyciągi z gazet rządowych i europejskich, artykuły o Europie i jej zdobyczach a równocześnie mieszczą się w nich wiadomości o Kościele katolickim, o rozwoju katolicyzmu, które niemało się już przysłużyły sprawie katolickiej. Pismo to, rozszerzone w wielkiej liczbie po całych Chinach przyczyniło się do tego, że dziś znajduje się w Chinach przeszło milion katolików.

Nie sądźcie jednak, szanowni czytelnicy, że dzienniki chińskie są drukowane w cudacki sposób i wyglądają po cudacku, nie, papier ma format mniej więcej naszych pism obrazkowych. Są jednak urządzone na sposób żydowski, to jest czyta się je od końca. Podczas, gdy bowiem w naszych europejskich dziennikach materyał dziennikarski mieści się na wstępie gazety, znajduje się tenże w dziennikach chińskich na samym końcu. Ogłoszenia zaś, to jest inseraty mieszczą się na początku. Gazety mają tam już swych korespondentów a nawet i telegraficzne wiadomości. Dziennik cały zresztą jest urządzony na sposób europejski. Są tam wiadomości polityczne, miejscowe, prowincyonalne, powieść, korespondencye, sprawy osobiste jak śluby, urodzenia itd., sprawy sądowe itd. itd. Tu nawiasowo zauważymy, że w Chinach nie znają piór do pisania. Piszą tam pędzlem. Mimo wszystkiego zachodzą jednak w dziennikach chińskich rzeczy, nad którymi Europejczyk serdecznie by się uśmiał. Chińczycy, nie znając kultury europejskiej, nie znają telegrafu, telefonu i tyle rozmaitych innych wynalazków, które w Europie służą do wzajemnej wygody i do rozwoju oświaty, handlu i przemysłu. Trzeba jednak Chińczykom podawać i takie wiadomości, toć i oni mają nabywać oświaty. Zamiast więc długo taki instrument objaśniać, tworzą Chińczycy wyrazy, które ich współbliźnim przedstawiają się z początku prawdziwie po chińsku. Telefon nazwali naprzykład to-li-fung, którego składnia ma w języku chińskim zupełnie inne znaczenie. Co tam jednak panom redaktorom chińskim do tego? A niechże sobie ich współbrat trochę nad tem nałamie swej chińskiej głowy! Najśmieszniej bo już nazwiska przekręcają. Europejczyk z pewnością nazwiska swego w chińskiej gazecie nie pozna. Jedynie Meyer, których zresztą na całym świecie nie brak, istnieje w Chinach. Mówią tam jednak Mai-ier zamiast Majer.

Oświata stoi w Chinach, jak powyżej pisaliśmy, na bardzo nizkim stopniu. Kwitną tam zwłaszcza zabobony, o których Europejczyk dowie się dopiero przez gazety. Gazety chińskie zamieszczają wiadomości, w któreby u nas małoletnie dzieci nawet wierzyć nie chciały. Chińczycy wierzą jednak w nie święcie i im więcej takich wiadomości gazeta zawiera, tem jest poczytniejszą. I tam ideał ustępować musi przed walką o byt na drugie miejsce. Oto kilka z podobnych wiadomości: »Dziewczyna pewna nie wyciągnęła przez niedopatrzenie śpilki z kaftanika. Przy wciąganiu kaftanika utkwiła jej śpilka w ciele. Lekarze okazali się bezradymi. Nikt nie mógł znaleść środka na usunięcie boleści, które dziewczynę doprowadzały do obłąkania. Wtedy to przywołał brat nieszczęśliwej swego przyjaciela, który na piersi dziewczyny położył papier, zapisany tajemniczymi znakami. Od razu,

jakby ręką przewrócił. Igła ukazała się na powierzchni, tak że snadno było można ją wyciągnąć.«

9 Maja: »W Szuntak spadły z nieba wśród ogromnej ulewy dwie rybki. Wyglądały tak ślicznie, że ludność nie poważyła się ich zabijać. Wpuszczono je jak najstaranniej do wody, w której wesoło popłynęły dalej.«

10 Maja. »Przy ulicy Ru-tszi-tsziao wynajął ktoś dom i ogłosił, że go święci wybrali na zbawcę ludzkości. Nauka jego miała wielu zwolenników, szczególniej pomiędzy kobietami. W końcu znalazło się kilku odważniejszych, którzy pana brata wygnali.«

11 Maja. »W pewnym budynku wyrosła z ziemi trzcina bambusowa, która przez pół dnia dosięgła wysokości siedmiu stóp, przebiła dach domu i w trzech dniach osiągnęła wysokość 70 stóp. Są ludzie, którzy temu nie wierzą, a przecież nic w tem niema nadzwyczajnego. Ziemia jest tam nasiąknięta siarką, a każdy z pewnością będzie wiedział, że siarka przyczynia się do nadzwyczajnego wzrostu roślin.«

Tym podobnych wiadomości pełno można spotkać po pismach chińskich. Powoli jednak i tam oświata wyruguje przesądy a z nimi razem i uprzedzenia dla wyższej kultury, wiejącej z Europy; Chińczyk powoli patrzeć będzie z większem zaufaniem na Europejczyka, bo przekona się, że on pragnie szczerze przedrzeć zasłonę ciemności, otaczającej dziś jeszcze umysł Chińczyka i uczynić go pożyteczniejszą cząstką swego narodu.

INSTYNKT TOWARZYSKI U ZWIERZĄT.

Zwierzęta nie mają ani rozumu ani wolnej woli jakie mają ludzie, lecz mają wrodzone popędy, które nazywamy instynktem. Skutkiem wrodzonych popędów, do natury każdego gatunku zwierząt przywiązanych, zwierzęta wypełniają to, na co są stworzone, unikają tego co im szkodzi n. p. ziół i roślin trujących, poznają przyjaciela i nieprzyjaciela i t. d. Nie wszystkie zwierzęta mają równe popędy, instynkta, (choć są i takie instynkta, które wszystkim zwierzętom są wspólne), lecz każdy gatunek ma instynkta w swoim rodzaju. Niektóre zwierzęta mają instynkt towarzyskości, zawsze ich się więcej razem trzyma, inne nie mają tego, każde żyje samotnie. Jedne zwierzęta mają popęd do wędrowania, drugie nie mają.

Instynkt towarzyskości, życia gromadą, jest zwykle połączony z instynktem wędrownym, bo wędrówki odbywają się społem, w towarzystwie. Są zwierzęta jednak, które żyją przez cały czas samotnie i pojedyńczo, lecz skoro przyjdzie czas wędrówek, to się łączą i gromadzą i wędrują w porządku i pod komendą. Z instynktem wędrownym jest zawsze połączony instynkt towarzyskości, lecz z instynktem towarzyskości nie jest zawsze połączony instynkt wędrowny.

Zwyczajnie są zwierzęta żyjące gromadnie obdarzone zgrabnością, są sztukmistrzami. Ten sam instynkt, który uczy zwierzęta żyć gromadami, tenże sam uczy ich utrzymywać i zachować porządek w gromadzie i wspólnie pracować. Jeżeli zwierzęta żyją gromadą, to mają swoje mieszkania; robota, sposób życia, obrona przed nieprzyjacielem, walka przeciw wrogom, wychowanie młodych, wszystko inaczej wypatruje aniżeli u innych zwierząt i przypomina poniekąd kulturę ludzką. Zwierzęta tworzą państwo oparte po części na życiu rodzinnem, po części na wolnej łączności, po części na jednem i drugiem.

Połączenie zwierząt do wspólnego celu nie jest instynktem towarzyskim. Wilki i hyeny gromadzą się i wspólnie wychodzą na rabunek, do wycieczki coraz więcej ich się dołącza, całemi groma-

dami polują i napadają na ludzi lub zwierzęta, lecz nie żyją społem. Skoro wycieczka i napad skończone, rozchodzą się, a często jedno drugie napada.

Nie łączy ich instynkt towarzyski, lecz głód równie wielki u wszystkich do tego, co służy ku zaspokojeniu głodu. Skoro głód zostanie zaspokojony, to już nic nie łączy owe zwierzęta. Jako wspólny rabunek, połączenie sił na wojnę łupieską, tak łączy też zwierzęta potrzeba obrony. Łączą się według pewnego planu i sposobu. Dzikie konie żyją społem na stepach, lecz nie stanowią towarzystwa, ponieważ nie wykonują nic społem, nie mają wspólnego celu. Lecz skoro napadną ich dzikie jakie zwierzęta, zaraz konie łączą się w celu obrony wspólnej, robią koło, w środek koła umieszczają klacze i źrebięta, a potem kopytami i pyskami bronią siebie i całą gromadę przed nieprzyjaciołmi. Konie w tym przypadku wyżej stoją aniżeli wilki społem się łączące. Konie łączą się w szlachetnym celu obrony. Lecz i konie łączą się tylko w celu chwilowym, przemijającym, właściwego zmysłu, instynktu towarzyskiego i u nich nie ma.

Są też znowu zwierzęta, które nie żyją wspólnie, nie mają wspólnej własności, lecz mieszkania sobie urządzają pod jednym dachem. W Afryce, na przylądku dobrej nadziei żyje pewien gatunek wróbli, które prowadzą życie republikańskie. Budują sobie, zebrawszy się tysiącami społem jeden ogromny dach, naokoło pnia wysokiego drzewa. Drzewo z dachem wypatruje jak olbrzymi rozpięty parasol. Pod tym dachem ma każdy ptak osobne swoje gniazdo. Mają więc wspólny dach na własność, lecz nie żyją społem, nie pracują społem, nie dzielą się szczęściem i biedą, tylko pod jednym mieszkają dachem.

U niektórych zwierząt jest popęd towarzyski tak wielki, że nie oddzielają swych mieszkań od sąsiadów, lecz łączą takowe ze swemi mieszkaniami za pomocą ganków. To robią króliki. Kiedy się wypuści dwie pary królików i jeżeli każda para sobie osobno wykopie norę w ziemi niedaleko od siebie, to spodem połączą swe mieszkania gankiem.

Wyższy instynkt towarzyski okazuje się u słoni i małp. W stanie dzikim nie tylko społem żyją, lecz życie ich nosi na sobie cechę odrębności. Stawiają straże naokoło swej gromady, które im dają znać jeżeli się jakie niebezpieczeństwo zbliża. Tu zwierzęta dzielą pomiędzy siebie swoje zadania, jedne czuwają, drugie wypoczywają.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Czyszczenie zegara. Znajdujemy się w pokoju zegarmistrza starej daty. Pełno na ścianach zegarów, na stole stoi także zegar i pomiędzy innemi flaszka z oliwą do smarowania rozmaitych kółek i kółeczek. Zegar widocznie nie był dawno czyszczony. Pełno w nim brudu i kurzu, wskutek czego mechanizm przestał funkcyonować. Najlepiej użyć w tym razie dymaczki. Zegarmistrz z sumiennością wszelką stara się kurz z zegara wydobyć, a młody chłopak, syn jego z zajęciem się tej czynności przygląda.

Wenecya jest miastem, zbudowanem na wodzie. W miejsce ulic są tam kanały. Kanałów tam jest 149, nad którymi wznosi się 450 potężnych mostów. Domy mieszczą się na 117 wyspach. Obwód Wenecyi jest dwumilowy. Cała Wenecya posiada 16 tysięcy domów a 120 tysięcy mieszkańców. Wenecya była stółecznem miastem potężnej niegdyś rzeczypospolitej weneckiej.

Przemytnik. Mamy przed sobą mieszkańca Królestwa Polskiego, który zaklina się w obec celników austryackich nadgranicznych, że choć obładowany towarami, nie wiezie nic zakazanego. Urzędnicy jednak nabrali w swym urzędzie rozmaitego doświadczenia. Nie wzrusza ich zaklinanie otyłego dobrodzieja. Grzecznie ale stanowczo żądają otwarcia tłómoków i kufra. Opłaciła im się ta fatyga. Znaleźli mnogo wszystkiego. Nie dowierzali i otyłości przemytnika. Wzięli go do osobnego pokoju komory celnej i tam odbyli rewizyą i na jego osobie. Co potem nastąpiło, nie wiemy. Pewnie zamiast na targi dla pozbycia się towaru powędrował do więzienia.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Elektryczne światło w praktyce.

Jak wiadomo, to na końcu drótów elektrycznych umieszcza się kawałki węgla naprzeciw sobie postawione. Jeżeli się końce drutów z węglami nieco więcej od siebie oddali, to powstaje zamiast punktu świecącego pałąk ze światła, które jest tak rażące, że patrzeć w nie nie można. Lecz za pomocą szkieł można sprawić, że światło odbija się w jednem miejscu na ścianie. Tu dopiero uczeni mogą badać naturę światła elektrycznego, i spostrzeżono, że przez węgiel bieguna pozytywnego idzie dziwny prąd ku biegunowi negatywnemu. Prąd unosi ze sobą z niesłychaną szybkością cząstki węgla z jednego bieguna ku drugiemu, przez co jeden kawałek węgla się zmniejsza a drugi rośnie. Cząstki węgla latające ogromnie się rozpalają i wywołują pałąk czyli łuk światła w najpiękniejszych kolorach.

Ponieważ światło elektryczne jest jaśniejsze aniżeli wszelkie inne światło, to niezawodnie ludzie nie używaliby światła gazowego, lecz właśnie dla tego, że cząstki jednego węgla lecą do drugiego, zmienia się ciągle odległość jednego końca drutu od drugiego. Ciągle trzeba druty regulować, ponieważ muszą być zawsze równo od siebie odległe. Urządzono maszynkę jakoby zegarek, która jeden koniec drutu ruchomy zbliża do nieruchomego o tyle, o ile jednego końca ubywa a drugiego przybywa. W ten sposób można przez dłuższy czas używać lampy elektrycznej przy latarniach morskich.

Używają też teraz zamiast kosztownych bateryi, które wytwarzają elektryczność, maszynki magneto-elektryczne. Urządza się sprawę w ten sposób, że mocne magnesy przesuwają się przed ziarnkami żelaza opasanych drutem. Ziarnka żelazne stają się przez to magnetycznemi, a przez magnetyzm prąd elektryczny w drucie. Prąd zaraz się odwraca kiedy się odsunie magnes od ziarnek żelaznych i niszczy się skutek pierwszego prądu. Lecz w nowszym czasie wynaleziono znamienite maszyny, które są tak urządzone, że bieguny drutów w tej chwili się zmieniają kiedy prąd w drugą stronę się odwraca. Za pomocą maszyny, która magnetyzuje ziarnka żelazne można wytworzyć piękne światło elektryczne, daleko tańsze aniżeli światło wytworzone za pomocą bateryi elektrycznych.

Są jednak inne jeszcze trudności jeżeli się chce użyć światła elektrycznego do oświetlenia ulic. Mianowicie nie można dotychczas utrzymać wiele latarni za pomocą jednej maszyny. A chociaż się i to pokona, to zdarza się, że kiedy w jednej lampie węgiel nie dopisze, wszystkie światła gasną, bo prąd elektryczny się przeżywa. Uczeni ciągle pracują nad tem, aby światło elektryczne było tanie i praktyczne. Należy mieć nadzieję, że skoro się tyle udało, że się i więcej uda.

Dobre rady.

Cesarz grecki Bazyli dał synowi swemu, którego bardzo kochał, następującą dobrą naukę: nigdy mój synu, nie będziesz żałował żadnego czynu, jeżeli przy wszystkiem żywo sobie przedstawisz, że Bóg na ciebie patrzy i uważa; w ten sposób nigdy nie będziesz śmiał uczynić nic złego ani jawnie ani tajemnie, bo chociaż się będziesz mógł ukryć przed ludźmi, przed Bogiem, który przenika głębię serca ukryć się nie będziesz mógł.

Gdyby ludzie więcej pamiętali o tem, w co wierzą, że Bóg jest wszędzie obecny i wszystko wiedzący, ileby to grzechów było mniej w uczynkach i słowach. Ile łez pokutnych nie płynęłoby. Złote słowa cesarza greckiego stósują się do starych i młodych, bogatych i ubogich, wysoko postawionych i prostaczków. Dla dobrych chrześcian słowa te rozumieją się same przez się, bo wiedzą, że Bóg widzi i zna nawet najtajniejsze nasze myśli i uczucia, i że musi karać za złe.

Nawet poganie wierzyli, że najtajniejsze sprawy nie są zakryte bóstwu. Grecki mędrzec Tales, zapytany, czy uczynki ludzi czasem jednak nie uchodzą uwadze bogów, odpowiedział: ani nawet myśli nasze, a to dla tego, abyśmy nie tylko ręce zachowali czyste lecz i serce, ponieważ wierzymy, że nawet najskrytszych naszych myśli świadkiem jest jakaś niebieska istota.

Inny mędrzec pogański, Cicero, woła: ktoby nie bał się Boga wszystko widzącego, wszystko badającego, wszystko sądzącego?

Słusznie powiada św. Kasyan, że wszechobecność Boga przykłada niejakoś grzechowi nóż do gardła, a cnocie otwiera wrota.

Chrześcijaninie, nie zapominaj nigdy, że chodzisz zawsze przed obliczem Boga, trzykroć świętego, że Bóg na cię patrzy i uważa, że Bóg ani nie może oszukać ani być oszukanym.

Niechaj ci będzie regułą przy wszystkiem co czynisz, że Bóg patrzy i słyszy wszystko, a nigdy nie zboczysz z prawej drogi, nieskosztujesz bólu żalu. Dzieciom przypominajmy ciągle, że Bóg jest wszędzie obecny. Słuchaj, na co się skarży pewien człowiek: słyszałem zawsze jako dziecko: to grzech przed Panem Bogiem, wszystko widzącym. Zawsze z bojaźnią cofnąłem

się przed złym czynem lub słowem. Teraz rodzice mówią: to jest niegrzecznie, to nie ładnie. Pokazuje się jakie owoce wydaje takie wychowanie. Mówią dzieciom: co o tem ludzie powiedzą. Rzadko matka powie: co Bóg wszystko widzący o tobie pomyśli sobie. Dla tego wielu ludziom więcej o to chodzi, aby się dobrymi być *zdawali*, aniżeli aby dobrymi byli, byle ludzie nie widzieli i nie wiedzieli, to o Boga się nie troszczą.

Legenda litewska
o założeniu stolicy Litwy, Wilna.

Niejaki p. Samojło podaje następującą legendę o założeniu stolicy Księstwa Litewskiego:

Pewnego razu litewski książę Jagajło polował w otoczeniu świty i zatrzymał się, podziwiając śliczny widok miejscowości przy ujściu rzeki Wilejki do Wilii.

— Chcę tutaj założyć miasto — rzekł książę — pragnąłbym jednak wiedzieć, czy będzie mu tu sprzyjało szczęście.

Zwołano kapłanów, a ci objawili księciu wolę bogów.

— Miasto będzie i sławnem i szczęśliwem — rzekli kapłani — jeżeli mur miejski wzniesiony będzie nad chłopcem, jedynakiem, zakopanym żywcem i ofiarowanym w tym celu dobrowolnie przez matkę.

— Dobrze — odparł na to książę — rozprzestrzenić wieść tę po całym kraju.

Upłynęło sporo czasu, ale matki takiej znaleźć nie było można. Nareszcie, gdzieś na granicy księstwa znalazła się kobieta, która się zdecydowała w tak wzniosłym celu wypełnić wolę bogów i ofiarować swego jedynaka, 10-let. chłopca.

Wyznaczono dzień uroczysty na założenie kamienia węgielnego pod miasto: zebrali się wszyscy wybitniejsi mężowie księstwa i tłumy ludu; kapłani przywiedli chłopca, ubranego kwiatami. I oto w chwili, gdy miano go już poświęcić na ofiarę bogom, chłopiec zwrócił się do księcia:

— Książę, ja nie wierzę, żeby to była wola bogów.

Chłopiec był nad wiek rozsądny.

— Jakto? Nie wierzysz? Przecież wolę bogów objawili kapłani! — rzekł Jagajło.

— Kapłani nie zrozumieli woli bogów — odparł chłopiec z przekonaniem. — Pozwól mi książę, abym kapłanom zadał trzy pytania; jeżeli mi na nie odpowiedzą, wtedy uwierzę i... niech się stanie wola bogów!

Książę zgodził się na to i chłopiec zadał kapłanom następujące trzy pytania: 1) co jest najlżejszem na świecie; 2) co jest najsłodszem na świecie; i 3) co jest najtwardszem na świecie?

Kapłani zadumali się, porozumieli się między sobą i odpowiedzieli:

— Najlżejszem na świecie jest — puch, najsłodszym — miód, a najtwardszym — kamień.

Kapłani z tryumfem i zadowoleniem spojrzeli po obecnych. Chłopiec stał, skłoniwszy głowę. Obecni dziwili się i pytaniom chłopca i mądrości kapłanów. Wszyscy naturalnie uważali, iż odpowiedzi były trafne. Nastąpiło milczenie.

— A więc cóż? — zapytał książę chłopca.

— Nie — odparł chłopiec — kapłani nie zrozumieli moich pytań i nie odpowiedzieli na nie, i woli bogów także nie zrozumieli: najlżejszem na świecie jest — dziecko na rękach matki, najsłodszem jest — mleko matczyne, najtwardszem — serce mojej matki, która daje na ofiarę swego własnego jedynego syna.

Naród dziwił się rozumowi chłopca, a książę przekonał się, że kapłani mylnie objaśnili wolę bogów. Wtedy kapłani, pragnąc uratować swoją powagę, oświadczyli, iż omylili się: nie chłopca, ale dziewczynę trzeba dać na ofiarę. Sądzili, iż dziewczyna będzie głupszą.

Rozesłano znowu wieść po kraju i po upływie jakiegoś czasu znaleziono dziewczynkę. Wyznaczono znowu uroczystość i kapłani przywiedli biedną ofiarę, ubraną kwiatami. Postanowiono postawić dziewczynkę w kwiatach i z bukietem w ręku nad brzegiem przepaści, a z góry spuścić na nią ogromny odłam kamienia, który spadając, miał zgnieść i przywalić sobą biedną dziewczynkę.

I oto stał się cud, kamień, padając, zabrał z sobą tylko bukiet żywych kwiatów, wyrwawszy go z rąk nieszczęśliwej. W chwili spadania skały wszyscy obecni mimowoli zakryli oczy ze zgrozy.

Minęła chwila.

Spojrzeli wszyscy na miejsce, gdzie stała dziewczynka — nic jej się nie stało, dziecko było nieuszkodzone.

W tem wydarzeniu widzieli wszyscy wolę bogów i ogromnie się uradowali.

Tym sposobem miasto założono na kwiatach i nazwano Wilnem od rzeki Wilii.

Legendę tę opowiadał panu Samojło pewien staruszek w r. 1870.

Praktyczne rady.

— **Lekarstwo na bezsenność.** Wiadomo z opowiadania a często nawet i z własnego doświadczenia, jak straszną męczarnią jest bezsenność. To też nic dziwnego, że osoby dotknięte tem cierpieniem, uciekają się nawet do gwałtownych i trujących środków — jak opium i chloral, byleby tylko na znużone powieki sprowadzić sen tak pożądany. Otóż znany fizyolog Huxley stanowczo twierdzi, że chcąc prędko zasnąć, należy całą głowę obwinąć kołdrą lub prześcieradłem, wskutek czego następuje trudne oddychanie. Powietrze, dostając się wtedy do naszych płuc w mniejszej ilości, zawiera również i mniej tlenu, który, jak wiadomo, działa pobudzająco na organizm. Zasypiając w ten sposób, nie zachodzi obawa żadnego niebezpieczeństwa, gdyż zasnąwszy z głową okutaną, instynktownie nawet we śnie usuwamy z twarzy przedmiot utrudniający nam oddychanie. Za punkt wyjścia do tego nowego sposobu sprowadzania snu posłużyła Huxleyowi obserwacya nad psami i kotami, które układając się do snu zwijają się w kłębek i głowę lokują w ten sposób, aby się dotykała ich sierci, która utrudnia oddychanie. Nawet i ptaki podczas snu chowają głowę pod skrzydła, co przecież nie ułatwia procesu oddychania.

— **Obciąć szklankę, słoik, butelkę, kieliszek i t. p. podług miary żądanej.** Trzeba napełnić naczynie szklanne, które chcemy obciąć podług danej miary, oliwą do tego miejsca, w którem chcemy mieć brzeg naczynia, następnie zanurzyć żelazo rozpalone do białości. Po chwili naczynie pęknie równo w tem miejscu, gdzie górny brzeg powierzchni oliwy dotykał ścian naczynia i otrzymamy szklankę, słoik i t. p. żądanej wysokości.

— **Aby rozróżnić kury młode od starych,** trzeba obserwować opierzenie skrzydeł. Młoda kura aż do jednolatki ma pod skrzydłami puch długi i cienki, skórę delikatną i różową; po roku puch wypada a skóra staje się bladomatową. Doświadczone gospodynie i bez tych oględzin potrafią rozróżnić wiek kur, mając je ciągle na oku. Kury trzyletnie należy usuwać z kurnika; przydatne są one tylko na pieczyste... twarde.

Rozmaitości.

* **Zegar leśny.** Każdy myśliwy, znający głosy ptaków, może najwcześniej wybrać się na polowanie bez zegarka. Po słowiku, którego trele rozlegają się prawie przez całą noc, zięba daje pierwszy sygnał od $1\frac{1}{2}$ do 2 w nocy; po niej czarnogłowa piegża zawodzi piosnkę trwającą od 2 do $2\frac{1}{2}$; do trzeciej uderza przepiórka; od 3 do $3\frac{1}{2}$ daje koncert czerwonogardła piegża; od $3\frac{1}{2}$ do 4 kos wyśpiewuje; od 4 do 5 świegocze sikora; wreszcie od 5 do $5\frac{1}{2}$ słychać wróbla. Kos, jak wiadomo, jest bardzo pojętnym i z łatwością naśladuje wszelką zasłyszaną melodyą. Pewien francuz nauczył kosa Marsylianki, poczem wypuścił go na wolność; wkrótce wszystkie kosy w kantonie śpiewały Marsyliankę.

* **Ryby strzelające.** Mieszkańcy Jawy i Chin chowają w sadzawkach bardzo zabawny gatunek ryb: możnaby ją nazwać rybą-strzelcem. Ryba ta, długa na sześć cali, żyje w wodach wschodnich Indyi i żywi się owadami latającemi w powietrzu. W jakiż sposób jednak stworzenie nie mogące wody opuścić, pochwyci łup swój szybujący w powietrzu? W bardzo prosty; ryba-strzelec posiada bardzo bystry wzrok i na kilka łokci widzi najmniejszy owad latający; przytem może wsysać wodę i wypryskiwać ją wysoko. Jak tylko dostrzeże smaczny kąsek, wciąga pyskiem wodę w siebie, i wypryskuje ją tak zręcznie, że prawie nigdy nie chybia celu. Opryskany owad traci władzę w skrzydłach i spada z wysokości pięciu lub sześciu stóp w pysk czyhającej nań ryby. Chińczycy trzymają ryby te w naczyniach i bawią się widokiem oryginalnego polowania.

* **Przyrost ludności w Niemczech i we Francyi.** Ludność Francyi w porównaniu z ludnością Niemiec wzrasta nadzwyczaj powoli. Smutny ten fakt stwierdzają sami statystycy francuzcy. Leroy Beaulieu zestawiając przyrost ludności w obu krajach w ciągu 20-tu lat, obliczył że: w roku 1860 Francya miała 36,522,404 mieszkańców, Niemcy 37,745,187; w roku 1880 Francya miała 37,314,660 mieszkańców, Niemcy 45,234,061. Przyrost we Francyi wynosi 792,256 mieszkańców, w Niemczech 7,488,874. W ciągu 20 lat więc w Niemczech przybyło tyle milionów ile we Francyi setek tysięcy. Zdaniem ekonomisty, Niemcy przewagę tę zawdzięczają przewyżce urodzeń nad wypadkami śmierci. W ogóle ludność wzrasta tam ośmkroć prędzej niż we Francyi. Wówczas gdy w Niemczech podwojenie się ludności nastąpiłoby po upływie 60 lat, Francya czekaćby musiała na to lat 433. Leroy Beaulieu wyznaje ze smutkiem, że Francya z każdym rokiem utraca cząstkę swojej względnej potęgi i robi uwagę pełną patryotycznej obawy: »Dziś już ludność Niemiec przewyższa ludność Francyi o 20%, tak że w razie wojny Niemcy mogliby wystawić przeciwko nam o taki sam procent większą armią.«

* **Wpływ wzruszeń umysłowych na ciało.** Na pierwszy rzut oka niemożliwem się zdaje wymierzenie narzędziem zmian zaszłych w ciele pod wpływem działalności mózgowej, objawiającej się jako wzruszenie lub praca umysłowa; pomimo to profesor Mosto zdołał zbudować instrument pozwalający nietylko notować najmniejszy proces w mózgu, lecz nawet mierzyć go łokciem. Praca bowiem umysłowa — działalność mózgu — wpływa podrażniająco na naczynia krwiste ciała i pociąga za sobą zmniejszenie objętości ramienia. Przyrząd profesora Mosto obejmuje ramię osoby i za-

znacza najmniejszą zmianę zaszłą w jego objętości. Zmiany te występują jako wyraźne łuki na papierze, przesuwanym za pomocą mechanizmu zegarowego, pomieszczonego na przedłużeniu przyrządu. Okazało się, że nawet najmniejsze natężenie umysłu, jak mnożenie dwóch liczb, czytanie w obcym języku, nieprzyjemne wrażenie sprawione dotknięciem palca mokrego, wpływa na zmianę objętości ramienia. Wyjątek pod tym względem stanowią tylko osoby cierpiące na osłabienie nerwów, a zwłaszcza mózgu. Zmianę objętości ramienia wywołać u nich można dopiero po przezwyciężeniu wstrętu nerwowego do tej próby. Przyrząd profesora Mosto ważny jest z tego względu, że pozwala sprawdzić nerwowe osłabienie mózgu i ustrzedz póki pora, od następstw chorób tego organu.

* **O napojach wyskokowych.** Pod powyższym tytułem znany, uczony profesor dr. A. Forel w Zurychu wydał obszerną książkę, w której dowodzi, iż wszystkie napoje wyskokowe są truciznami i to w pierwszym rzędzie truciznami mózgowemi. Po dłuższym używaniu sporych dawek, następuje zwyrodnienie tkanek ustroju. Używanie napoi wyskokowych skraca życie. Alkohol powinno się zwalczać w w równej mierze jak morfinę, opium, haszysz, eter, kokainę itp. Zatrucie wyskokowe systemu nerwowego sprowadza dwie grupy zaburzeń, przemijające i trwałe. Charakter ulega również zwyrodnieniu, uczucie etyczne tępieje. Chroniczny alkoholista staje się chronicznie umysłowo chorym, a potomstwo jego przychodzi już na świat w stanie fizycznego zwyrodnienia. Zastanawiając się nad fałszowaniem napojów wyskokowych, zaznacza Forel, że niebezpieczeństwo tkwi w sprzedaży napojów wyskokowych, jako leków, popartych odważną reklamą. Autor nawołuje do zupełnej wstrzemięźliwości, a jest przeciwnikiem nawet najbardziej umiarkowanego używania napoi wyskokowych.

ŻARTY.

Ożywiony sezon.

— Cóż panie dobrodzieju, dla was handlujących zaczyna się ożywiony sezon?

— A naturalnie proszę pana, wczoraj na przykład komornik aż dwa razy przychodził do mojego sklepu. Oho, na brak ożywienia uskarzać się nie można!

U sędziego.

— Czyś ty sam obmyślił plan całej kradzieży?

— Nie, proszę koncyliarza...

— A któż ci w tem dopomógł?

— A to w dzienniku stojał opis rychtyg takiej facyendy, takem też zrobił co do joty, tylko że tamtego złapali na schodach, więc ja oknem wlazłem i mnie w oknie złapali.

Trochę gramatyki.

Nauczyciel: Ile jest rodzajów w języku polskim?

Uczeń: Trzy, panie profesorze, męski, żeński i nijaki.

Nauczyciel: Dobrze, daj przykłady na każdy rodzaj.

Uczeń: Rodzaj męski — mężczyźni, rodzaj żeński — kobiety, rodzaj nijaki — stare panny.

Dwa pokolenia.

— Wiesz co stryju, że nie rozumiem, jak można mieć upodobanie do wojaczki.

— Mój kochany, i ty byś się bił, jakbyś się znalazł w bitwie, wyboru tam nie ma, przed sobą masz śmierć, a za sobą hańbę.

— O za pozwoleniem, jabym się nie ruszył ani naprzód, ani wtył, alebym sobie tak w bok skręcił.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.